Rozmaitości

Dnia 29. września **Nr 39.** *1838 roku.*

IFIGENIJA W AULIDZIE.

TRAJEDYJA Z DZIEŁ RASYNA.

Tłumaczenia

Wincentego Kopystyńskiego.

(Koniec sceny 4. w akcie 5tym.)

KLITEMNESTRA.

Lecz tymczasem — nieszczęsna matko... o bogowie!
Córka moja już z wieńcem śmiertelnym na głowie
Idzie pod topor ręką ojcowską podany!
Już Kalchas w jéj krwi... Stójcie zajadłe tyrany!
To jest czysta krew Boga, co piorunem włada...
Słyszę grzmot straszny, ziemia drży, grom już wypada,
Bóg mściciel grozi mocą swojego ramienia!

Scena 5.

KLITEMNESTRA. ARKAS. EGINA. STRAŻ.

ARKAS.

Pani! w istocie wola niebios los twój zmienia;
Achil dotąd cię jeszcze od zguby zasłonił,
Złamał zastęp, co wstępu do świątyni bronił,
Wpadł przed ołtarz, ten widok przeraził kapłana,
Stanął jak wryty; straszna ofiara wstrzymana!
Drży powietrze, stal błyska, krzyk i zgiełk się szérzy,
Achil twę córkę gronem swych wiernych rycérzy
Osłaniając, zatrwożył Greki zgromadzone.
Agamemnon nie śmiejąc przejść na jego stronę,
Nie może znieść widoku blizkiego spotkania,
Odwraca oczy i łzy kryjąc twarz zasłania.
Pójdź, gdy on milczy, możesz śmiało i otwarcie
Słuszną skargą swojemu obrońcy dać wsparcie.
On sam z rąk swoich, które jeszcze krwią zbroczone,
Chce w twoje ręce pani złożyć swoję żonę.
Spiesz i wierzaj potężnéj Achila opiece,
Nie lękaj się...

KLITEMNESTRA.

Natychmiast na jego głos lecę!
Gdzie mnie niebezpieczeństwo największe poniesie,
Wszędzie pójdę. Co widzę? srogi Ulyssesie!
Ogłosisz mi śmierć córki mojéj... już się stało!

Scena ostatnia.

ULYSSES. KLITEMNESTRA. ARKAS. EGINA. STRAŻ.

ULYSSES.

Nie, pani! niebo twoich łez się zlitowało,
Ifigenija żyje, uśmiersz narzekanie.

KLITEMNESTRA.

Żyje! i tyżto o tém donosisz mi panie?

ULYSSES.

Ja, co przeciw niéj, przeciw tobie, wyznać muszę,
Chwiejącą się w twym mężu umacniałem duszę;
Ja, co chcąc by lud grecki wieczną chwałę zyskał,
Surowąm radą jęki z twéj duszy wyciskał;
Teraz wchodzę, zajęty tą chęcią jedyną,
Abym otarł łzy, których stałem się przyczyną.

KLITEMNESTRA.

Córka moja! o nieba, w zadumieniu stoję!
Ach panie, któryż mi Bóg wraca dziécię moje?

ULYSSES.

Widzisz, jak mnie samego ta chwila szczęśliwa
To radością napełnia, to trwogą przeszywa!
Już cios okropny spadał na greckie narody,
Panujący pomiędzy wojskiem duch niezgody
Na oczy nasze spuścił nieszczęsną zasłonę,
Już i hasło do boju było ogłoszone.
Smutne widoki serce twojéj córki ranią,
Przeciw niéj cały obóz, jeden Achil za nią.
Lecz Achil choć sam, Achil nieznający trwogi,
Rzucił postrach na wojska i podzielił bogi,
Już powietrze napełnia szczęk mieczów, chrzęst zbroi,
Już z rozpoczętéj rzezi ziemia krwią się poi,
Gdy Kalchas występuje pomiędzy dwie strony:
Wzrok srogi, zasępione czoło, włos wzniesiony,
Przestrachem nas przeraża wszystkich, i tak zacznie:
»Ty Achilu, wy Grecy! słuchajcie mnie bacznie,
»Bóg, co przez usta moje do was mówić raczy,
»Swę wyrocznię i wybór swój tak mi tłumaczy:
»Inna Ifigenija, z Heleny krew inna,
»W tém miejscu na ofiarę oddać się powinna.
»Helena, uwieziona z ojcowskiego domu,
»Z Tezeuszem zawarłszy śluby pokryjomu,

»Zrodziła córkę, którą skrycie wychowaną
»Zawsze Ifigeniją od dzieciństwa zwano.
»O tych związków owocu jeszczem wtenczas wiedział,
»I nieszczęsną mu przyszłość zaraz przepowiedział.
»Pod zmyślonem imieniem, niepojęta władza
»I jakieś zaślepienie dziś ją tu sprowadza!
»Ona mnie słyszy, widzi, wszyscy ją widzicie:
»Ta jest, która w ofierze ma bogom nieść życie!«
Rzekł Kalchas. Chwilę trwało zmysłów otrętwienie,
Potém na Eryfilę zwracamy spojrzenie;
Ta była przed ołtarzem, może niecierpliwa
Że na zwłocę ofiary czas próżno upływa;
Onato między Greków przed chwilą tam wbiegła,
I o skrytym odjezdzie waszym ich ostrzegła.
Dziwią się nad jéj losem i nad urodzeniem,
Lecz gdy ginąć dla Troi jest jéj przeznaczeniem,
Wojsko otwartym głosem przeciw niéj powstaje,
I na jéj śmierć, swój wyrok Kalchasowi daje.
Już dla wzięcia jéj Kalchas podnosi ramiona:
»Wstrzymaj się!« rzekła wściekłym gniewem zapalona;
»Krew królów, co swą sławą napełnili dzieje,
»Bez twoich rąk nieczystych, ja sama przeleję!«
Tu wpada na sam ołtarz, nóż święty porywa,
I utapia go w swoich piersiach nieszczęśliwa!
Ledwie krew z rany płynie i ziemię zrumienia,
Grzmot z ołtarza odbiły świątyni sklepienia,
Wiatry się zaczynają poruszać w przestworze,
A ich powstaniu szumem odpowiada morze,
Bielące się od piany brzegi jękły zdala,
Płomień się z pośród stosu sam z siebie zapala,
Niebo się wypogadza, i w serca nam leje
Tę świętą bojaźń, która utwierdza nadzieję.
Wojsko zdumione mówi: że mgłą przyodziana
Aż do samego stosu zstąpiła Dyjana,
I mniema, że ku niebu wznosząc się z płomienia
Niosła nasze ofiary i nasze życzenia.
Wszyscy się cieszą; jedna twa córka w téj chwili,
Śród powszechnego szczęścia płacze Eryfili.
Pójdź ją sama odebrać z rąk Agamemnona,
Dla wszystkich tam obecność twoja upragniona.
Achil podał przyjazną dłoń twemu mężowi,
I wieczny z sobą związek stwierdzić są gotowi.

KLITEMNESTRA.

Kiedyż zdołam, o nieba! za dar z waszéj ręki,
Achilowi nagrodzić, a wam złożyć dzięki!

OKROPNA

PRZYGODA MORSKA.

Wipis z *History of Shipwrecks*.

> Widząc, jak morza zburzeniem
> Wichr nawę morską chłonie w męt głęboki,
> Łódź słusznie rybak goni do zatoki! *Schiller.*

Dnia 27. sierpnia 1765 r. szalupa *Peggy*, przeznaczona do Fayal, jednéj z wysp Azorskich, wypłynęła z Nowego-Jorku. Osada jéj składała się z siedmiu ludzi, mianowicie z kapitana Dawid Harrison, kadeta okrętowego i pięciu majtków. Statek ten miał na swoim pokładzie fajki, wosk, ryby i jednego niewolnika Murzyna. Zawinął szczęśliwie na miejsce swojego przeznaczenia, i wymieniawszy nadmieniony ładunek za wino, wódkę i różne inne artykuły, odpłynął z powrotem do ojczyzny. Jeden tylko Murzyn, którego nikt nie kupił, przymuszony był wrócić do Nowego-Jorku. W pierwszych cztérech lub pieciu dniach piękna pogoda i wiatr pomyślny sprzyjały téj żegludze; lecz nagle powstała straszna burza, która po większéj części potargała żagle, przezco okręt bardzo pomału płynął. Prócz tego zaczęła w szalupę zaciekać woda, musiano więc wylewać ją codziennie.

Przez cały miesiąc czeladź okrętowa przykładała wszelkiego usiłowania, by statek na powierzchni wody utrzymać; jednakże okręt do pierwszych dni grudnia małą tylko upłynął przestrzeń; aż oto nowe, i daleko straszliwsze nadeszło nieszczęście. Osada spotrzebowała wszelką żywność, nic nie zostało, jak tylko mała ilość chleba i wody. Zasób wina i wódki był wprawdzie jeszcze nietknięty, lecz dla niedostatku pożywienia, żadnego nie przynosił pożytku. Codzienną racyję dla jednego człowieka zmniejszono na ćwierć funta, a prócz tego dawano każdemu jednę śklankę wina i kwartę wody. Zacząwszy od pierwszego grudnia stan ludzi okrętowych pogorszał się z każdym dniem coraz bardziéj. Szalupa coraz więcéj brała w siebie wody; bałwany wzdymały się coraz straszliwiéj, a grzmoty nad głowami żeglarzy huczały prawie bez ustanku. W tém okropném nieszczęściu nadpłynęły wprawdzie w dali dwa statki, ale rycząca burza nie dozwoliła statkowi *Peggy* zbliżenia się do nich.

Nieuchronna potrzeba nakazywała jeszcze bardziéj zmniejszyć wyznaczoną dotychczas racyję chleba i wody, aż nareszcie spożyto wszystko do ostatka i tylko się jeszcze dwa galony mętnéj wody na dnie w beczce ostały. Ostatki te oddano pod zarząd kapitanowi, jużto z powodu osobistego poważania, już dla tego, że go nieznośna reumatyzmowa dręczyła febra. Reszta siedm osób, prócz wina i wódki, nie miała żadnego środka do utrzy-

mania swego życia. Wszyscy więc, jakby zmysłów pozbawieni, rzuciwszy się zapamiętale do tych napojów, zapijali się niemi tak długo, aż głód pijaństwem zwiększony, jeszcze im bardziéj dojmować zaczął. Pośród tego źwierzęcego zbytku dał się im dojrzéć w oddaleniu inny statek; każdy z nich natychmiast wpatrzył się osłupiałym wzrokiem w tę stronę; a po wrzaskach wściekłéj rozpaczy, nastąpiły zapamiętałe okrzyki radości. Wywieszono znak, oznajmiający ich niebezpieczeństwo, a o godzinie jedynastéj przed południem mieli to niewysłowione szczęście, podpłynąć tak blizko, że już mogli ustnie wzywać pomocy. Kapitan obcego okrętu przyrzekł wesprzéć ich chlebem; albowiem nie będąc dostatecznie zaopatrzonym w inne artykuły, tylko tego jednego mógł mi cokolwiek udzielić; jednakże ociągał się z wypełnieniem swojego przyrzeczenia, dopokąd wprzódy potrzebnego przeglądu na swoim okręcie nie przedsięweźmie. Wygłodniali majtkowie czekali z wytężoną niecierpliwością przez całą godzinę na upragniony posiłek, a Harrison, osłabiony głodem i reumatyzmem, prawie już wzrok straciwszy, wrócił na wypoczynek do kajuty. Z każdą chwilą spodziéwał się wiadomości, iż na pokład statku jego przysłano już przyrzeczone suchary; lecz nie długo trwało, a przerażeni majtkowie wpadli z wrzaskiem do kajuty i oznajmili mu z okropną rozpaczą, iż okręt z największym pospiechem się oddalił. Kapitan, nie wierząc ich doniesieniom, z wielkiém natężeniem, prawie pełzając, wywlókł się na pokład i przekonał się, że majtkowie prawdę mówili. Ów nieludzki żeglarz rozwinął jeszcze więcéj niż wprzódy żagli, i w godzinach kilku zniknął już z oczu.

Dopokąd tylko ci nieszczęśliwi jeszcze oddalający się okręt, jak punkt na widokręgu widzieć mogli, dotąd, uczepiwszy się lin żaglowych patrzyli za nim; lecz gdy im z oczu zniknął, zaczęli z okropną, serce rozdzierającą rozpaczą, jakby w przystępie szaleństwa, wprzód i wzad biegać po pokładzie okrętu, i bez ustanku przeraźliwe wydawać wrzaski. Zniknęła dla nich ostatnia nadzieja, a jednak wrodzone czucie znaglało ich do utrzymania nędznego swego bytu. Jedyne żyjące istoty na pokładzie, oprócz dziewięciu ludzi, był kot i dwa gołębie. Natychmiast zabili gołębie i pożyli je skwapliwie, kota zaś, pokrajawszy go na ośm części i ciągnąwszy o nie losy, zjedli dopiéro dnia następnego. Kapitan Harrison, na którego tym sposobem głowa kota wypadła, upewniał poźniej w swoim pamiętniku, że nic w życiu nie jadł smaczniejszego.

Nazajutrz czeladź okrętowa zaczęła zewnątrz po ścianach okrętu obskrobywać konchy morskie *(barnalis)*; lecz bijące fale spłukały prawie wszystkie znajdujące się po nad wodą, a majtkowie byli zbyt wysileni, by się długo na bokach okrętu utrzymać mogli. Bez ustanku grzali sobie wino i pili je, przezco zawsze zamroczonymi byli, podczas gdy kapitan obchodził się tylko mętną wodą, która na dnie beczki ostała; pół kwarty takiéj wody i kilka kropli turlingtońskiego balsamu, były przez dwadzieścia i cztéry godzin całym jego posiłkiem. W takim stanie byłby przecież spokojnie oczekiwał śmierci, gdyby mu los rodziny jego nie ciężył zbyt srogo na sercu. Niekiedy pocieszał się tą nadzieją, że inny statek nadpłynie i na swój pokład ich zabierze; lecz nadzieja ta znikała z każdą chwilą, gdy głód z każdym dniem coraz bardziéj wycieńczał jego ludzi, i codziennie wzmagała się woda w okręcie. Opłakany stan tych nieszczęśliwych powiększyła jeszcze ta okoliczność, iż żeglując zimową porą, i spożywszy wszystko, co tylko było na pokładzie, nie stało im już ani łoju, ani oleju; więc byli przymuszeni przepędzić codzień szesnaście godzin w ciemności. Jednakże jak mogli, za pomocą jednego żagla, upłynęli jeszcze mil kilkanaście drogi; aż oto d. 28. grudnia powstała nowa, nawalna burza, która rozdarłszy ostatni żagiel, porwała z sobą ostatnie z niego szmaty. Tym sposobem cały statek jak pływający tułów, wystawiony był bez ratunku na dowolny pomiot wichrów.

Trudno pojąć jakim sposobem ci nieszczęśliwi od 28. grudnia aż do 13. stycznia przy życiu się utrzymać mogli. Dawno już spożyli wszystkie suchary, mięso z kota było ostatnim ich pokarmem, wszystek łój i oléj zjedli byli jeszcze przed 28. do szczętu, a na scianach szalupy już ani jednéj nie było konchy. Wszelako pomimo to okropne nieszczęście cała osada okrętowa dnia 13. była jeszcze przy życiu! Wieczorem tegoż samego dnia majtkowie, pod przewodnią kadeta, wpadli

wszyscy razem do kajuty; już na ich twarzach czytać można było straszliwy zamiar, który powzięli. Oświadczyli kapitanowi, iż na żaden już sposób nie wytrzymają dłużéj głodu; że wszelki zapas tytoniu wyszedł, że zjedli już nie tylko skórę u pompy okrętowéj, ale nawet skórzane od kaftanów guziki, i że nie mając teraz innego sposobu dla ocalenia swego życia, zamyślają ciągnąć losy, kto z nich dla reszty służyć ma za pożywienie.

Kapitan postrzegł, iż wszyscy byli trunkiem zapojeni; starał się wszelkiemi sposobami odwieść ich od tego szkaradnego zamysłu i zaleciwszy im, aby dla pokrzepienia sił swoich cokolwiek się przespali, dodał, iż nazajutrz, jeżeli tymczasem Opatrzność nie zeszle im jakiéj pomocy, sam z nimi pomówi w tym względzie. Łagodna mowa ta naczelnika jeszcze bardziéj rozjątrzyła zgłodniałych szaleńców; zaklinając się w najstraszniejszy sposób poprzysięgli, iż w téj chwili jeszcze uczynić to należy, co koniecznie nakazuje niezbędna potrzeba, i że im mało na tém zależy, ażali on pozwoli lub nie — co większa, że go przymuszą, ażeby z nimi ciągnął losy; gdyż ogólne nieszczęście znosi wszelką różnicę stanu i godności. Kapitan nie będąc w stanie okazania im swojéj władzy, rzekł: »Możecie czynić, co się wam podobać będzie, wszelako pod żadnym warunkiem nie dam rozkazu do zabicia tego, na którego los padnie, ani też na żaden sposób do téj ludożerczej uczty należéć nie będę.«

Majtkowie opuścili go z pospiechem i udali się na pokład okrętu. W kilka chwil wrócili z doniesieniem: że los padł na Murzyna. Kapitan domyślił się nie bez powodu, iż niesumiennie postąpiono sobie w téj mierze; lecz musiał milczéć. Biédny Murzyn, widząc że jeden z nich już nabijał pistolet dla zgładzenia go ze świata, wylękniony przestrachem wbiegł do Harrisona i padłszy mu do nóg, zaklinał go z rozpaczą, aby mu zachował życie; lecz kapitan oświadczył mu z głębokim żalem, iż nie jest w stanie poskromić tych szaleńców, i wkrótce ujrzał, jak Murzyna na pokład powleczono, i tam go bez litości kulą przeszyto! Zaledwo Murzyn skonał, już majtkowie rozniecili ogień i pokrajali w kawały ciało. Jeden z nich, nazwiskiem James Campbell, strasznym głodem rozłakomiony, ze zwiérzęcą wściekłością wydarł z brzucha wątrobę i zjadł surową, chociaż w kilku minutach mógł ją był upiéç na ogniu. Większą część nocy spędzili wszyscy przy téj piekielnej uczcie i dopiéro o drugiéj godzinie z rana udali się na spoczynek.

(Dokończenie nastąpi.)

ALGIÉRCZYK
W DOMU INWALIDÓW.

Z francuzkiego.

W ostatnim boju francuzkiéj armii z wojskiem Abd-el-Kadera, pewien żołniérz algierski, walczący pod znakami trójkolorowéj chorągwi, był tak ciężko ranionym, iż do służby wojskowéj na zawsze niezdatnym został. Nieszczęśliwy kaléka ten widział przezto przerwanym cały zawód swojego życia; nie marzył on wprawdzie, podobnie jak Jussuf-bej o złotych epoletach, jednakże nie spodziéwał się, aby przy schyłku dni żebrać miał kawałka chleba u swoich ziomków; taki bowiem los czekał niegdyś pod dejem wszystkich w służbie zestarzałych i do boju niezdatnych ludzi. Algiérczyk ten był walecznym i złorzeczył kuli, która go ugodziła, lecz nie dla tego, że był ranionym, ale że nie poległ od niéj na miejscu. Gdy cokolwiek przyszedł do zdrowia rzekł do niego pułkownik: »Popłyniesz do Francyi, gdzie w domu, który na ciebie czeka, nienajgorsze będziesz miał utrzymanie.«

Algiérczyk wzdrygnął się na te słowa: »Do Francyi!« odmruknął; »ja, który jezdziłem na ognistym rumaku, z szablą w ręku na szérokich płaszczyznach gromiłem nieprzyjaciela, spędzał nocy pod niebem gwiazdami zasianém, ja miałbym iść do Francyi, by sprzedawać migdały i wonne świéczki na bazarze!«

Jednakże umilkł, i powziął stały zamysł. Płynąc z Algiéru do Francyi, postanowił rzucić się w morze.

Będąc uleczonym zupełnie, został odesłanym na pokład, a pułkownik polecił go względom kapitana okrętu. Byłoto poźnéj jesieni, w któréj najpiękniejsza panowała pogoda; zdawało się, iż samo niebo Algiéru i Oranu sprzyja biédnemu wychodzcy, by go nie przywieść do rozpaczy. Założywszy na krzyż pod siebie nogi, i trzymając w ustach długą fajkę, siedział na pokładzie i z upodobaniem patrzył

na wonny widokrąg, po którym przemkły rozkoszne wyspy Majorka i Minorka; nareszcie rzekł sam do siebie: »Teraz jeszcze nie czas, poźniej rzucę się w morze!«

Gdy przybył do Marsylii, wsadzono go na dyliżans jadący do Paryża; w tym powozie miał osobne siedzenie i wszelkę wygodę; mógł palić fajkę tak długo, jak się mu tylko podobało, i tym sposobem dostał się do stolicy, nie wiedząc bynajmniéj, co go właściwie u kresu téj podróży czekało. Przybywszy na miejsce, zaprowadzono go najprzód do ministeryjum wojny. Tam doręczono mu wstępną kartę do domu inwalidów i przydano wysłużonego żołniérza z poleceniem, aby go zaprowadził na miejsce przeznaczenia.

Biédny Algiérczyk był bardzo stroskanym przechodząc śród Paryża: »Cóżto za długie i posępne ulice! jaki zgiełk, jaka kurzawa! Có za pochmurne niebo! Któreżto dla mnie przeznaczone więzienie?« Tak dumał nad swym losem, nareszcie rzekł: »Bóg jest wielkim! ale Paryż szkaradném miastem!«

Po niejakim czasie, przyszedłszy na széroki plac inwalidów, stanął przed ogromnym, spaniałym gmachem. Zdumiał się i zadrżał na całém ciele. Kassauba, pomyślił sobie, w porównaniu z tym pałacem, nie jest, jak tylko bezecną stajnią. »Czyjżeto pałac, zapewne francuzkiego sułtana?«

»To jest twój pałac,« odrzekł towarzyszący mu inwalid; »wnijdź do niego.«

Algiérczyk pomyślił sobie, że inwalid drwi z niego, wszelako wszedł do pałacu, a tam go zaprowadzono do wielkiéj sali.

»Cóż będziesz jadł i pił bracie?«

Algiérczyk przebąknął zmieszany: »Jaja i kawę.« Przyniesiono jaja i kawę.

»A teraz, czegobyś jeszcze sobie życzył?«

»Palić fajkę i przejść się po tym pałacu.«

»Pal fajkę i przechadzaj się podług woli. A teraz, czegoż chcesz jeszcze?«

»Położyć się spać.«

»Oto masz dobre łóżko, połóż się.«

Gdy się przebudził, zapytano go znowu, ażali się mu jeść nie chce. Algiérczyk zjadł porządny obiad. Po obiedzie zapytano go, ażali zadowolony z swego losu.

Algiérczyk odrzekł: »Pójdę się modlić do Stwórcy wszystkich istot; powiédzcie, z któréj strony wschodzi tu słońce?«

»Oto jest wschód; idź i módl się swoim sposobem. Nie długo wprawdzie w téj porze przyświéca nam słońce, jednakże użyj i téj reszty podług swego upodobania.«

Inwalidowie oddalili się, by mu nie przeszkadzać w modlitwie. Algiérczyk, zwyczajem narodów wschodnich, rzucił się na twarz w sali i modlił się z największą skruchą. Po skończoném nabożeństwie, zapytał z trwogą, jaki go los czeka nazajutrz.

»Jutro będziesz to samo robił, coś robił dnia dzisiejszego, i to samo przez całe swoje życie, choćbyś i sto lat żył na tym świecie. Jakże ci się ten dom podoba, przyjacielu?«

Algiérczyk, nie posiadając się z radości, zapytał z zadziwieniem, pomiędzy jakimiżto ludźmi on się właściwie znajduje?

»Pomiędzy żołniérzami takimi, jak ty jesteś. I tak, jak tu nas wszystkich widzisz, walczyliśmy po największéj części pod Napoleonem: ten odniósł ranę pod Damiettą, a tamten pod St. Jean d'Acre.«

»Ja walczyłem pod Mokta za Francyję!« rzekł Algiérczyk.

»Więc jesteś Francuzem!« zawołali inwalidzi. »Za twoje zdrowie Turczynie! Jesteś naszym towarzyszem! Będziesz z nami żył, postarzejesz się i umrzesz z nami.«

Poczém zaczęli rozpowiadać o wojennych przygodach. Każdy opowiadał swoje przypadki. Algiérczyk, za pomocą jestów i francuzczyzny, któréj cokolwiek we francuzkiéj służbie zachwycił, opisywał sposób walczenia Beduinów. Mówił jak zwinnie dosiadają rumaka, jak szérokie, białe noszą burnusy, w które osłonieni, wyglądają jak duchy pośród puszczy z obłoków spadające; opowiadał do jakiego stopnia są wytrwali, że garść migdałów dostateczną jest do zaspokojenia na cały dzień ich głodu; opisywał ich napój pośród skwaru ochładzający, a tym jest jeden łyk słonéj wody; ich zabawy, a te są w krótkiém nabożeństwie; ich łoże, a tém jest piasek puszczy; ich nadzieję, a nią jest — ich niebo!

Nowi towarzysze, tém opowiadaniem zachwyceni, uściskali go i obchodzili uroczyście jego przybycie. Turczyn przez cały wieczór upajał się radością, zadowoleniem, a może nawet i czém inném, pomimo zakazu proroka. Późno w nocy zaniesiono go do łóżka, gdzie najpiękniejsze sny ujęły go w swoje objęcie.

Po upływie dni kilku dowiadywał się, jakiżto święty człowiek wystawił ten pałac gościnności, który zapewne przez dobroczynność bogobojnych ludzi tak spaniale jest utrzymywanym. Z wielką trudnością dano mu do poznania, iż właśnie we Francyi nié masz tyle bogobojnych, którzyby dla ludzkości podobne jak dom inwalidów wystawiali schronienie.

»Zapewne więc król francuzki założył ten dom spaniały?« zapytał daléj.

»Żaden król nie chciałby się zajmować założeniem takiego instytutu,« odrzekli mu Francuzi.

»Ale zkądże ma utrzymanie?«

»Żołniérze łożą na utrzymanie jego i na wszelkie wydatki. Z żołdu, który rząd wypłaca, odciągają im niejaką szczupłą kwotę, która dostateczną jest do zaopatrzenia wszystkich inwalidów w odzież, ogrody, dobre jadło, a nawet wino bordejskie. Jeden *sous* od każdego francuzkiego żołniérza wystarczył na założenie, i wystarcza na utrzymanie tego instytutu.«

Mieszkańcy Wschodu przyzwyczajeni są do rozwagi; po krótkim namyśle pojął Algierczyk, jakich środków używają i jakiemi ofiarami skłaniają się ludzie ucywilizowani, do uskutecznienia dobroczynnych zamiarów. Pewnego dnia ujrzał na własne oczy przykład podobnego poświęcenia się, gdy jeden z jego towarzyszów chorobą złożony, zaniesionym był do szpitalu. Zamyśliwszy odwidzić go, ubolewał serdecznie, iż przy łożu jego nie zastanie ani żony, ani dzieci, któreby go pocieszać i pielęgnować mogły. Ale jakże się zdziwił, gdy przyszedłszy do swego przyjaciela, ujrzał przy nim trzy niewiasty, które z tkliwością i bogobojném politowaniem zajmowały się uśmierzeniem jego boleści. Jednéj z nich pytał, ażali nie jest jego matką; drugiéj, ażali nie jest jego małżonką, a trzecią i najmłodszą mniemał być jego córką.

»Żadna z nas nie zna twojego przyjaciela;« odrzekły zakonnice.

»A dla czegoż go pielęgnujecie?« zapytał Algiérczyk z ciekawością.

»Ponieważ taki jest rozkaz boski;« odpowiedziały z skromnością.

»Rozkaz boski? tak, Bóg jest wielki!« odrzekł Algiérczyk zjęty podziwieniem; »zato też w niebie dostaniecie za mężów tak pięknych mężczyzn, o jakich wam się ledwie przyśnić mogło.«

Siostry miłosierdzia zarumieniły się usłyszawszy tę grzeczność; jedna tylko, najstarsza z nich, miała tyle śmiałości, iż w ten sposób odrzekła: »Jedyna nagroda, któréj się spodziéwamy, jest ta, że będziemy mogły w niebie chwalić Pana Zastępów i radować się obliczem jego.«

Algiérczyk milczał. Waleczny przyjaciel jego uśmiechnął się i objaśnił mu pokaleczoną arabszczyzną, któréj się w egipskiéj wyprawie nauczył, że siostry miłosierdzia, przywdziawszy szatę zakonną, złożyły niebu śluby wieczńej czystości.

Algiérczyk na żaden sposób nie mógł pojąć tak wielkiéj ofiary.

»Jakże, lepiéj ci teraz?« zapytała najmłodsza zakonnica chorego inwalida; »czy nie chciałbyś napić się czego?«

»Nié mam pragnienia, ale, jeżeli wolno, prosiłbym szanowną siostrę o jednę łaskę.«

»Powiédz,« odrzekły wszystkie trzy skwapliwie.

»Już od kilku dni nie paliłem fajki, czuję niemoc w calém ciele; życzyłbym sobie przynajmniéj oddychać dymem tytoniu. Pozwólcie memu towarzyszowi, niech usiędzie przy mnie na łóżku i pali fajkę, a dym z niéj będzie dla mnie bardzo posilnym.«

Jedna z sióstr miłosierdzia pobiegła natychmiast i przyniosły fajkę, tytoń i ogień i prosiła Algiérczyka, aby palił fajkę. Ten nie dał się długo prosić i z wielką gorliwością wykonał życzenie swego przyjaciela. Byłto rozrzewniający widok, patrząc przy łożu chorego na siostry zakonne i Algiérczyka, który założywszy z powagą na krzyż pod siebie nogi, usiadł na dywanie, i uroczyście ciągnąc dym z fajki, całą salę nim napełniał. Stary inwalid wciągał w siebie z wielką rozkoszą ten balsam zbawienny, a marszczkami zradlona twarz jego, w krótkim czasie zakrytą została rozdętemi kłębami dymu. Turczyn był surowéj twarzy i uroczysty, jakby modlitwę odmawiał, i z taką gorliwością dymem z fajki buchał, jak gdyby nim swojego przyjaciela od śmierci wybawić zamierzył.

Odtąd ubiegło już kilka miesięcy jak Algiérczyk w domu inwalidów zostając, ma się za najszczęśliwszego ze wszystkich ludzi od Wschodu do Zachodu, nawet emirów i sułtanów nie wyłączając. Codziennie wypala dwanaście fajek, a jeżeli piękna pogoda sprzyja, pije kawę w chłodniku ogrodowym; wychodzi kiedy się mu podoba, powraca na obiad i wieczerzę; uprawia ogródek spólnie z swym towarzyszem, nie mającym tylko jednę nogę i rękę. Żony i dzieci żonatych inwalidów, przyszedłszy w niedzielę lub w tygodniu na odwidziny, życzą sobie zawsze widzieć Turczyna, i zawsze mu jakiś podarunek przyniosą, bądź piękny bukiet kwiatów, bądź paczkę tytoniu i zawsze proszą go, aby w ich obecności palił fajkę; słowem, nié masz nikogo, któryby mu nie sprzyjał; lecz on jest bogobojnym i przypisuje to wszystko Bogu, i każdego wieczora, obróciwszy się ku wschodowi, odmawia w swéj modlitwie:

»Dziękuję ci, mój Boże! dziękuję za tę ranę, którą odniosłem w bitwie pod Mokta!«

O KURACYI PRYŚNICA W GRÆFENBERGU.

O rozpowszechnionéj zimną wodą gräfenberskiéj kuracyi, otrzymując z różnych stron od obywateli naszych, tamże przebywających doniesienia, które wszystkie od wiarygodnych pochodzą osób i z wielkiemi o téj nowéj metodzie rozszérzają się pochwałami, postanowiliśmy zebrać je po krótce i poparłszy takowe umieszczonemi w dziennikach znawczemi zdaniami lekarzy, podać do wiedzy naszych czytelników, jako uzupełnienie tego, o czém już nie raz w pismie naszém napomknięto. Roku przeszłego było w Gräfenbergu do 500 chorych, którzy wszyscy z najlepszym co do swego zdrowia skutkiem powrócili i tylko jeden umarł. Roku bieżącego leczyło się przeszło 680, z których do połowéj sierpnia jeszcze tam do 500 osób przebywało. Wielu lekarzy nawet przyjeżdża dla uważania sposobu kuracyi i jéj skutków, a prawie wszyscy uwierzywszy z przekonania w metodę Pryśnica, oddają mu zupełną sprawiedliwość. Doktor Wagner z Kurlandyi, przekonawszy się podobnież o dobrodziejstwach gräfenberskiéj kuracyi, któréj przez cztéry miesiące z krytyczną, niech tak rzekę, przypatrywał się bacznością, dał się z tém słyszéć, że wróciwszy do Kurlandyi, podobny zakład tamże otworzyć zamyśla, dla stania się swym ziomkom pożytecznym.

Wypisawszy tych kilka wiadomości z listu pewnego znakomitego obywatela, który jak wszyscy w Gräfenbergu przebywający, w najwyższym stopniu ujęty jest dla Pryśnica i jego sposobu kurowania, jakiego na sobie samym doświadczył, przytaczamy list doktora Blum z Aschafenburga w Szwajcaryi, którego nam w kopii udzielono.

»W ciągu ośm tygodniowego pobytu mego w Gräfenbergu (pisze dr. Blum) pomuszony jestem wyznać, iż wiele wypadków widziałem, w które nie wierzyłem dawniéj. Człowiek, który jeszcze przed 10 laty za pługiem chodził, leczy prostą, świeżą wodą choroby, uważane przez górno-mądrych lekarzy za niewyleczone, i wiele uchybień, nadużyciem lekarstw zrządzonych, naprawia. Ztąd wynika, że Pryśnic wyżéj stoi, niżli wielu z medycznych fabryk dostarczonych doktorów, bo nie tylko sam więcéj działa, ale częstokroć naprawia to, co inni zepsuli. Dla pacyjenta ma wykurowanie daleko większą wartość, niżli najuczeńsza definicyja. Dobrze, iż raz przecie d o ś w a d c z e n i e odniosło górę nad swoją córką t e o r y j ą i że tę, brudami przesiąkłą, wodą oczyszcza. Zapewnić mogę, że tu najuporczywsze artrytyczne, skrofuliczne i syfilistyczne choroby bądź doznają polepszenia, bądź ze szczętem wyleczonémi bywają. Widziałem osoby reumatyzmowe, zupełnie na siłach podupadłe, a teraz zdrowe i czérstwe. Odwidzałem ludzi w okolicy, którzy léczyli się tu przed kilką laty, widziałem blizny skrofulicznych wrzodów i osoby z różnych wyprowadzone chorób; tak, iż przekonałem się dostatecznie, że umiejętném użyciem czystéj wody, może w chorym organizmie nastąpić pomyślna zmiana, i że nie każda choroba do skutecznego wyleczenia potrzebuje osobnego lekarstwa. Dziwne są przesilenia, jakie się tu zdarzają i godne uwagi lekarza; w ogóle powiedzieć mogę, iż lekarz ujrzy tu nie mało nowych wypadków, jakie dawniéj nawet mu na myśl nie wpadły; atoli kto sam dostatecznie nie przekonał się o tém, co tu ową prostą metodą wykonywaném bywa, śmiesznym się robi, wydając sąd zawczesny. Wielu chorych, których lekarze za niewyleczonych i prawie już za nieboszczyków ogłosili, jeżli mieli tyle odwagi i poddali się rzeczonéj kuracyi, zdrowi i czerstwi powrócili do domu.«

Na zakończenie artykułu naszego i niejako na większe poparcie tego, co się uprzednio powiedziało, umieszczamy wyciąg z listu, pisanego przez wyżwspomnionego dr. A. Wagnera, lekarza piątej brygady artyleryi rossyjskiéj; przez dr. Posewitz z Iglawy (w Węgrzech), dr. Weigersheim z Charlottenburg (w Prusiech) i dr. Brunner z Winterthur (w Szwajcaryi) do redakcyi *Allgemeine Zeitung*, a umieszczonego w N. 228. tegoż pism a z dnia 16. sierpnia r. b.:

»W obu zakładach kurowania zimną wodą (wyrażają się pomienieni lekarze), tak w Gräfenbergu, jakoteż w Freiwaldau (w pierwszym pod Pryśnica, w drugim pod Weissa przewodnictwem) widzieliśmy mocne zapalenia i gorączki, mające uporczywy charakter, leczone ze skutkiem li zastosowaniem metody Pryśnica. Potwierdziło się w oczach naszych, że wkorzenione cierpienia gastryczne, reumatyczne, podagryczne, skrofuliczne, hepatyczne, syfilistyczne i merkuryjalne, udaremniające upornie wszelkie poprzednicze usiłowania lekarskie, tu tym prostym sposobem kuracyi doznały lub znacznego ulżenia, lub były niepowrotnie wyleczone. Widzieliśmy słabości piersiowe do znacznego posunione stopnia i wyradzające się już w cierpienia abdominalne, o wiele polepszonemi; także afektacyje nerwowe, jakoto kurcze, migreny, a nawet choroby ócz, doznające zupełnéj ulgi, również paraliże oprzeć się nie mogły sile wodnéj kuracyi; podobnież zadawniałe boleści w kościach z różnéj pochodzące przyczyny, bądź tu zupełnie wyleczono, bądź doprowadzono do stanu widocznego polepszenia. Nadto jesteśmy przekonani, że przy téj metodzie kuracyi, więcéj niżli przy wszelkiéj innéj, siły chorego są oszczędzane i nabierają usposobienia do reakcyi, objawiającéj się w najdziwniejszych łuszczeniach skóry, w przesileniach gorączkowych, biegunkowych i t. p. Nareszcie nie ograniczając się na poczynionych tutaj spostrzeżeniach i doświadczeniach, podejmowaliśmy wycieczki w okolice i tam poznaliśmy ludzi, którzy po większéj części chronicznym reumatyzmem lub innemi słabościami dotknięci, a w Gräfenbergu jeszcze r. 1828 kurowani, do dnia dzisiejszego zdrowi, są żywym dowodem osłabiającym zarzuty niektórych przeciwników w mowie będącéj metody, jakoby ona nie gruntownie i nie trwale pomagała. Te wszystkie tak zbawienne w leczeniu skutki osiągniono nie w zadusznych izbach szpitalnych, nie mieszaniną różnych lekarstw, ani ujmowaniem jadła i t. p., lecz w przewiewanych czystém powietrzem pokojach, w łaźniach kryształową napełnionych wodą, na wonnych wzgórzach, przy wzmacniającym pokarmie, zdrowym napoju i pod ożywczym promieniem górskiego zdroju. I w tento sposób chory, czując ulgę w cierpieniach, zwolna do zdrowia przychodzi.«

— Ze Lwowa. —

Zaszczytnie znany nasz artysta sztuki malarskiéj M a r c i n J a b ł o ń s k i, ukończył właśnie duży historyczny obraz dla kościoła parafialnego w Potyliczu, mający do 4 stóp szerokości, a 6 wysokości. Wystawia on chwilę, w któréj S. Stanisław, wychodząc z kościoła z pocztem swoim, wskrzesza zmarłego Pietrowina, na co król i lud zdziwiony patrzą. Obraz ten zaleca się mistrzowskim układem, doborem kolorytu i wiernie zachowanemi ubiorami owego czasu i czyni nie małą sławę naszemu rodakowi, chlubnie już w nowo wyszłym *Künstler-Lexicon* w Niemczech wspomnianemu. P.

P o e z y j e J. I. K r a s z e w s k i e g o, z portretem autora i godłem: *Anch' io son pittore!* Wilno, u Blumowicza, 2 tomy. Pierwszy tom zawiéra pomniejsze poezyje. Są to poezyje prawdziwe, natchnione, z serca wylane. Świeżość i oryginalność pomysłów i łatwość poetycznego wysłowienia, są ich charakterystycznémi cechami. Większa część przesiąkła tą goryczą, która zdaje się

być chorobą wszystkich znakomitych naszego wieku talentów. Tom drugi cały składa *Halszka*, dramat historyczny z r. 1554, we trzech aktach. Nader poetyczną figurą tego dramatu jest Kozaczka Mołnia, jéj miłość i przywiazanie do Dymitra kniazia Sanguszki. Również ostatnie sceny u grobarza w guście Szekspira, wiele dodają ogólnych zalet temu znakomitemu dramatycznemu dziełu, gdzie wielka znajomość serca łączy się z wielką znajomością sztuki. Osnową dramatu jest znana z Górnickiego o księżniczce Ostrogskiéj historyja. (T.P.)

Nowa kaplica w Krakowie. Jak dalece piękne umnictwo kwitnie w Państwie Austryjackiém, dowodzi nowe dzieło, które w tych czasach z wiédeńskiej wyszło pracowni, i które może pod każdym względem zwrócić na siebie uwagę publiczności. Hrabina Arturowa Potocka z domu Branicka, kazała wznieść w kościele katedralnym w Krakowie nową kaplicę. Spaniałość i smak łączą się w téj budowie w sposób najzgodniejszy. Wykonanie sutych, bronzowych przyozdobień, kapitelów, rozet i t. p. poruczono wiédeńskim, najzaszczytniéj znanym artystom *Janowi Grzegorzowi* i tegoż synowi *Ignacemu Danninger*, jakoż jedna część téj mistrzowskiej roboty już na pierwszéj wystawie rękodzieł wiedeńskich zwróciła na siebie uwagę wszystkich znawców i miłośników kunsztu. Obadwaj ci artyści ukończyli teraz dla nadmienionéj kaplicy ołtarz z pozłoconego w ogniu bronzu, który tak jest misterny, iż o nim bez przesady powiedzieć można, że nie ma sobie równego w Europie. Panowie *Danninger* otrzymali najwyższe pozwolenie wystawienia tegoż ołtarza w c. k. nadwornym zamku w kaplicy Józefińskiej, w którémto miejscu zwidzali go Najj. Państwo, J. C. Mość Cesarzowa Matka, Księżna Parmy, Arcyksiążęta Ludwik i Franciszek Karol, tudzież kanclerz domu, dworu i państwa, książę Metternich, i pierwszy najwyższy ochmistrz nadworny, książę Colloredo. Tak Najj. Państwo, jakoteż wszystkie najdostojniejsze osoby raczyli tym obudwom artystom pod względem nadmienionego dzieła okazać swoje zadowolenie. Podobnież licznie odwidzający znawcy przyznali jednozgodnie, iż dzieło to z rzadką znajomością kunsztu jest wykonane. Ołtarz zrobiony jest podług abrysu c. k. nadwornego radzcy budownictwa i dyrektora przy c. k. akademii pięknych kunsztów p. *Piotra de Nobile*. Sławny ten mąż i w tém dziele dał dowód czystego smaku. W najszlachetniejszych formach i proporcyjach przedstawia się oczom naszym to imponujące dzieło. Obok przepychu materyjału, godną jest podziwienia skromna forma. Ołtarz liczy 19 stóp 6 cali wysokości. Antypendyjum ma trzy stopy wysokości; a 8 stop 9 cali długości. Płyta środkowa obejmuje 24 cali wysokości, a 3 stopy długości. W środku jéj, jako przyozdobienie, znajduje się krzyż z wieńcem, przyćmionéj czyli matowanéj roboty, sprawiający doskonały skutek na talli jak zwierciadło wypolerowanéj. Na pobocznych tallach ram, równie jak na płytach obiedwóch ścian pobocznych, umieszczone są oskrzydlone głowy Cherubinów przyćmionéj roboty. Na wielkiéj wystawnéj płycie osadowéj stoi w pośrodku spaniałe cymboryjum, którego wnętrzne ściany zdobią ornamenta w dęto wypukłém złocie na płycie marmurowéj. Rzeczone cymboryjum przedstawia *złożenie Chrystusa Pana do grobu*, misterne dzieło, które hrabina Potocka od Jego Świątobliwości papieża Grzegorza XVI. otrzymała. Po obu bokach cymboryjum stoją trzy duże, z wielkim smakiem wypracowane kandelabry. Osada, na któréj spoczywają okazałe, z płaskich płyt złożone, pięknym gzymsem i perłami przyozdobione ramy ołtarza, ma 10 stóp wysokości, a 8 stóp i 3 cale długości, i odznacza się polityrą spaniałą. Na ramach jest wzniesiona, sutemi ornamentami przyozdobiona wystawa, na którą krzyż promienisty, mający dwie stóp wysokości, jasny blask rozpościera. Przeznaczony do ołtarza obraz, nad którym pracuje pewien włoski artysta, przedstawiać ma ukrzyżowanego Chrystusa Pana, tudzież Najś. Maryję Pannę i S. Magdalenę. Ołtarz ten, dopiero za umieszczeniem obrazu i połączeniem wszystkich świetnych kolorów z metalowym przepychem ołtarza, okaże skutek całéj swojéj spaniałości. Po obu bokach ołtarza znajdują się dwie okrągłe podstawy z bronzu, mające 20 cali w przecięciu, a 4 stopy wysokości. Teraz na nich spoczywają wazy alabastrowe, lecz właściwie mają na nich być umieszczone popiersia hrabi Artura Potockiego i jego matki, dłuta Thorwaldsena. Na tem kończymy opisanie formy tego artystowskiego dzieła. Co do wykonania, wspomnieliśmy na wstępie, iż dzieło to w właściwém znaczeniu tego słowa nie zostawia nic do życzenia, i że pp. *Danninger* dali oczewisty dowód w niém, jak wysokie stanowisko zajmują w swojém umnictwie; albowiem tak politura ogromnych płyt metalowych, jakoteż wytworność przyćmionego kolorytu, jest tak doskonałą, iż wszystko, co tylko Paryż lub Medyjolan w tym gatunku utwarza, może pośledniejsze zajmuje miejsce. Całość w olbrzymich swych proporciach, przedstawia się dwójnasób w zadziwiającéj dokładności. Wszędzie, tak w najdrobniejszych szczegółach, jakoteż w całych massach i spojeniu ich, jak największa doskonałość panuje. Misterne dzieło to zachwyca oko już symetryją proporcyj, już techniką wykończenia; jestto trwały, najszczytniejszego umnictwa pomnik, jakim żaden naród, przynajmniéj podziś dzień w podobnym rodzaju poszczycić się nie może.

F. C. Weidmann.

Dziwaczne zwyczaje niektórych kompozytorów. Muzykę do »Dwóch Ifigenij,« »Żalów Orfeusza« i »Miłości Parysa,« pisał Gluck pod gołém niebiem na łące, wystawiony na promienie słoneczne, mając przed sobą fortepian, a obok dwie butelki szampana. Sarpi zaś nie mógł komponować jak tylko śród nocnej ciszy, w wielkim, próżnym, posępnym i jedną lampą słabo oświetlonym pokoju. Salieri z ołówkiem i pularesem w ręku biegał po najludniejszych ulicach, zajadał cukierki i tym sposobem szukał do swych kompozycyj pomysłów. Paer, żartując ze swymi przyjaciołmi, karcąc swe dzieci, rozkazując służącym, kłócąc się z żoną lub kucharką, albo głaszcząc psa swego, wylewał na papier najspanialsze swe myśli. Cimarosa lubiał hałas, komponując otaczał się zawsze licznemi przyjaciołmi. Sacchini nie mógł komponować tylko w obecności swojéj kochanki i pieszcząc się z przyjemną swą koteczką. Paësiello pisał wszystkie swoje kompozycyje w łóżku. Zingarelli zagrzewał się do kompozycyi czytaniem Ojców Świętych, albo jakiego klasyka łacińskiego. Aufossi nie mógł ani jednéj napisać noty, jeźli przed nim nie stał kapłon, kiełbasa, szynka albo jaka potrawka. Haydcn siedział spokojnie w poręczowém krześle, podczas gdy wzniosły umysł jego, podnosząc się w niebo, podsłuchywał tonów, jakiemi aniołowie śpiewają.

Szczere wyznanie lekarza. »Wćpan jesteś zawołanym lekarzem,« rzekł pewnego razu książę K* do zmarłego Hufelanda; »powinieneś umieć leczyć wszystkie choroby; znasz najdokładniéj budowę ciała ludzkiego.« — »Prawda, że ją znam,« odrzekł Hufeland, »my lekarze podobni jesteśmy do stróżów nocnych: znają oni doskonale wszystkie ulice; lecz nie wiedzą, co wewnątrz domu się dzieje.«

Kowal. Pewien kowal, mieszkający w Grinel, w Anglii, miał ośm żon, które wszystkie pomarły, i zamyślił z dziewiątą się ożenić. Zapytany dla czego tak często się żeni, odrzekł: »Kuję sobie za wczasu gwoździa do mojéj trumny.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.